



CHERTNIA

Drzewo duchów

Edward Dębicki



Oświęcim 2014

Oświęcim 2014

Wydawca: Fundacja Dialog Pheniben

Redakcja: Fundacja Dialog Pheniben



Fundacja Dialog Pheniben
Ul. Berka Joselewicza 5
32-600 Oświęcim
biuro@dialogpheniben.pl
www.dialogpheniben.pl

Copyright by Fundacja Dialog Pheniben & Edward Dębicki



Ministerstwo
Administracji
i Cyfryzacji

Publikacja w ramach projektu ***Romowie w sieci – multimedialny portal edukacyjny***,
realizowanego dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji

Biały Kruk

Było to dawno, dawno temu. Żyło sobie szczęśliwe małżeństwo, nie doskwierał im głód ani bieda. Zmartwieniem ich było to, że po wielu przeżytych ze sobą latach, nie mieli żadnego potomstwa. Zmartwienie pogłębiało się z każdym dniem. Mąż przesiadywał przed domem i stale był bardzo zamyślony, a żona nie ustawała w odwiedzaniu różnych znachorów i szukaniu pomocy. Niestety nie dawało to żadnych rezultatów. Pozostawała tylko nadzieja na to, że kiedyś może urodzi dziecko. Nawet już pogodzili się z tym, żeby żyć bez dzieci. Aż tu pewnego dnia, radosna wiadomość napelniła dom! Żona oznajmiła staremu mężowi, że jednak będą mieli dziecko! Wielka radość zapanowała, aż mąż z tej radości poszedł do karczmy i się upił. Nad ranem, kiedy wrócił do domu, matka trzymała w powijakach ich synka. Wróciło radosne życie w całej rodzinie. Odbyły się huczne chrzciny, a synek otrzymał imię Sergo. Lata mijały, chłopiec dorastał i stawał się dorodnym młodzieńcem. Starzejących się rodziców z każdym dniem opuszczały siły. W domu zaczęło brakować chleba. Młody Sergo widząc zbliżającą się biedę, poszedł do pobliskiego majątku szukać pracy. Pracował ciężko w polu przy orce. Musiał oporządzać konia, dbać o narzędzia: wóz, pług i brony. Pewnego dnia tak był zmęczony pracą, że wracając do domu ledwie ciągnął za sobą nogi. Zatrzymał się przy polnym kamieniu żeby odpocząć. Jeszcze dobrze nie oparł zmęczonej głowy o kamień, a zmorzony snem zapomniał o bożym świecie. Obudziło go głośnie

gadanie. Otworzył oczy, porozglądał się dookoła, ale nikogo nie zobaczył. Chyba to był tylko sen-pomyślał, albo wydawało mi się z tego przemęczenia. Wstał, podciął konia, odprowadził do stajni i poszedł do domu. Nazajutrz, chłopak wyjechał w pole. Gęsta mgła przysłoniła całą okolicę, że niewiele było widać. Trudno było jechać, a co dopiero chodzić za pługiem. Zatrzymał się i usiadł przy tym samym kamieniu, a że odpoczynku w domu miał niewiele, bo noc była krótka, przysnął jak wieczorem. Tym razem przyśniło mu się, że siedzi na zaklętym kamieniu pod którym są skarby i klucze do królewskiego zamku. Obudziło go rzenie konia. Otworzył oczy, ale koń stał spokojnie i nikogo nie było wokół. Sergo opowiedział koniowi o swoim dziwnym śnie. Koń machnął ogonem i ruszyli przed siebie. Nagle zabłysło mu przed oczami dziwnie kolorowe światelko jakby wszystkie barwy tęczy, które szybko zmieniło się w zieloną żabkę. Stworzonko usiadło naprzeciwko niego i ludzkim głosem przemówiło: Sergo, to nie był sen, to ja mówiłam wczoraj. Posłuchaj uważnie: zostałam zaklęta przez czarnoksiężnika, który przybiera postać białego kruka. Żabką jestem już dziesięć lat i tylko Ty możesz mnie uwolnić od tego zaklęcia. Takie jest przeznaczenie! Wynagrodzę Cię za to i zostaniesz bogatym człowiekiem. Bardzo chciałbym ci pomóc! Nie wiem jednak, jak Cię uwolnić, powiedział Sergo. Ja wiem, odpowiedziała żabka. Przyjdź jutro o świcie, a ja Ci powiem jak możesz pokonać białego kruka, bo tylko wtedy może mnie odczarować. Sergo ciężko pracował cały dzień. Rozmowa z żabką nie dawała mu spokoju. Po skończonej pracy, szybko

poszedł do domu, położył się spać, ale przez całą noc nie zmrużył oka.
Nie mógł się doczekać świtu.



Jak tylko zaczęło się rozjaśniać i nastał upragniony ranek, szybko wstał i pognął do kamienia. Mgła jakby nie chciała się położyć. Zawisła w powietrzu. Zauważył świecące światelko, które z trudem przebijało się przez gęstą mgłę! Usiadła przy nim żabka.

Sergo!-zawołała, słuchaj mnie uważnie. Białe kruk każdej nocy przylatuje o północy do tego kamienia i śpi na nim głębokim snem. W tym właśnie czasie trzeba mu wyrwać dwa pióra: jedno z ogona, a drugie ze skrzydła. Wyrwane pióra trzeba szybko spalić na rozdrożu dróg. Jednak białe kruk, dla swojego bezpieczeństwa, otacza się niewidzialną obręczą. Przekroczenie tej obręczy budzi kruk, a ten zamienia każdego w żabę lub jaszczurkę. Bardzo trzeba być ostrożnym, żeby nie naruszyć obręczy. Tę przeszkodę pokonać można, ale trzeba w lesie znaleźć węża z białą głową, który się prześlizgnie niezauważony i wyrwie dwa pióra. Sergo wysłuchał uważnie i tego samego dnia poszedł szukać węża. Tak chodził codziennie prawie cały tydzień. Już zaczął tracić nadzieję. Zmęczony, odpoczywał pod dużą sosną i wtedy zauważył bociana na łące, który trzymał w dziobie węża z białą głową. Sergo wstał i tak głośno krzyknął, aż szyszki z sosen pospadały. Bocian ze strachu wypuścił węża i odleciał. Sergo wziął na wpółmartwego węża i położył go na swojej rozłożonej marynarce. Kiedy już widział, że z wężem jest dobrze i chciał go włożyć do torby, wąż cichym głosem przemówił: 'Ty mnie uratowałeś, za to spełnię twoje każde żądanie, połóż mnie na swoim ramieniu i powiedz jakie mam twoje życzenia spełnić. Sergo opowiedział historię żabki i jakie zadanie ma spełnić on-wąż. Zbliżała się północ i już słyszeć było świst skrzydeł białego kruk, który usiadł na

kamieniu z głośnym piskiem. Po kilku minutach kruk usnął, Sergo powiedział do węża: teraz wślizgnij się i wyrwij mu pióro najpierw ze skrzydła, a później z ogona. Nie trwało to nawet pół minuty, a wąż miał w pyszczku dwa pióra. Sergo zabrał je i pognął ile tylko miał sił w nogach na rozdroże dróg. Kiedy tam już dotarł, drżącymi rękami podpałił pióra. Wybuchło tak dużo iskier , że nie było nic widać na 100 kilometrów. Po chwili czarny dym uniósł się, a na niebo wyszedł srebrny księżyc i oświetlił całą okolicę. Sergo szybko pobiegł do kamienia i niedowierzał własnym oczom: w tym miejscu stał przepiękny pałac, a na dziedzińcu czekała na niego śliczna królewna ze swoją świtą. Ukłoniła się i powiedziała o tym, jakie było życzenie jej ojca. Przed śmiercią tak powiedział: ten kto wybawi moją córkę z zaklęcia zostanie jej mężem, przejmie moje królestwo i zamieszka w moim zamku. Po dwóch dniach odbyło się huczne i wytworne wesele. Pierwszym drużbą młodej pary był wąż białogłowy, który wrócił do swojej książęcej postaci, ja byłem drugim drużbą: jadłem, piłem i dobrze się z Nimi bawiłem.

P A T R Y Ń – (Liść)

Na skraju lasu rósł sobie bardzo stary dąb, pokryty rodzinami zielonych listków. Pewnej nocy zerwał się mocny wiatr. Zbliżała się burza. Potrząsało gałęziami niemiłosiernie. Ojciec, Baro Patryń (Duży Liść), krzyknął do swojej żony: łap Patryń , nasze liściatko, bo zbliża się burza! Mama przytuliła Patryń i powiedziała-trzymaj się mnie mocno. Patryń drżała migotliwie-boję się mamo! Nie bój się, wiatr na pewno się uspokoi i będzie dobrze-uspakajała mama. Wiatr jednak nie ustawał, jeszcze bardziej się nasilał i zaczął padać deszcz. Zbliżały się błyskawice z grzmotami. Ojciec krzyczał, ale nie można go było zrozumieć. W tym momencie w dąb uderzył piorun. Rozległ się ogromny grzmot. Drzewo rozpadło się na dwie części. Wicher porwał Patryń z objęć mamy, uniósł wysoko w górę i pognał z nią na otwarte morze. Patryń zniknęła w przestworzach, a kiedy się ocknęła, wysokie fale unosiły ją na wzburzonym morzu. Zaczęło świtać, pojawiły się pierwsze promienie słońca. Morze się uspokoiło. Biała mewa latała nisko nad wodą, jakby szukała czegoś szczególnego. Zobaczyła pływający zielony listek. To była Patryń. Złapała ją dziobem i zaniósła do swojego gniazda. Po chwili powiał lekki wiaterek i zdmuchnął Patryń z gniazda na piaszczystą mokrą plażę. Na piasku leżała pusta zielona butelka. Wilgotne liściatko było rozkolysane i mocno zmęczone, ale udało się jej przykleić do butelki i jakby usnęło. Coraz cieplejsze słońce osuszało wszystko to, co było mokre: piasek, butelkę, liść. Patryń obudziła się i z resztką kropelek jak po rosie, szeptała do siebie: co ja teraz zrobię ze sobą

? Bez dębu, bez taty i mamy? Nagle dostrzegła czarnego żuczka. Biegł, szybko przebierał nóżkami prosto pod butelkę. Patryń krzyknęła: nie chowaj się pod butelkę żuczku! Słońce mocno ją rozgrzeje i będzie pod nią bardzo gorąco. Ludzie przyjdą sprzątać, wylegiwać się na plaży i mogą ci zrobić krzywdę! To gdzie mam się schować, pyta żuczek? Nie wiem, ale na pewno nie tutaj. Żuczek się zastanowił i po chwili zawołał: wiem, uciekajmy stąd razem! Ty możesz uciekać bo masz nóżki, odrzekła Patryń, a ja ich nie mam. Mam tylko ogonek. Wymyśl coś! Wiem, zachrypiał żuczek. Posmarował jedną ze swoich nóg kroplami wody, następnie swój grzbiet i przylepił do niego listek. Teraz uciekajmy stąd jak najdalej! - zawołał.

Żuczek z listkiem na powłoce grzbietu, podreptał do kępy traw, które rosły przy wale ochronnym. Ciężko było szybko uciekać po piasku, ale starał się jak mu sił starczało. Co kawałek zatrzymywał się i odpoczywał. Śpieszył się bo coraz więcej ludzi się schodziło na plażę. Groziło im rozdeptanie, albo jakieś dziecko mogłoby zabrać lisciątko do zielnika. Wreszcie bezpiecznie dotarli do kępy traw. Tutaj przeczekamy do wieczora, powiedział żuczek, a później wyruszmy dalej. Słońce chowało się za horyzontem, ludzie zaczęli opuszczać plażę. Patryń z żuczkiem wyruszyli w dalszą drogę w poszukiwaniu miejsca na przenocowanie. Dotarli z trudem do zwalonego drzewa. Duży pień poryty grubą, porowatą korą i dużo, dużo gałęzi pokrytych zielonymi liśćmi. To dobre miejsce. Tutaj przenocujemy. Po chwili żuczek chrapał słodkim snem. Noc mijała spokojnie, bezszelestnie. Patryń jakby otworzyła oczy. Na niebie migotały gwiazdy. Po chwili z powrotem je zamknęła i otworzyła, i znów zamknęła.



Czuła głaskanie, muskanie, przyjemne wspomnienie dotyku mamy i taty. Czy jest to tylko sen? Lekki wiatr poruszył skrzydełka liści. Żuczek się przebudził, porozglądał dookoła i zaczął obserwować Patryń. Liście i te duże i małe ocierały się, jakby przytulały do się siebie; szeleściły i radośnie tańczyły! Wszystko wyglądało jak we śnie! Żuczek wyszeptał: Patryń, Patryń. Szczęścia nie było końca! Liściątko rozpoznało swoich rodziców. Duży dębowy liść spuścił obfitą kroplę rosy ze szczęścia. Rodzina była znów razem. Żuczek chciał sobie odejść, ale Patryń i jej rodzice prosili, żeby z nimi został. W zaułkach kory starego dębu było wystarczająco miejsca na dom i dostatnie życie żuczka. I tak, wszyscy żyli razem do późnej jesieni i starości, która przyszła na wiosnę z nowymi pąkami liści.

OGIEŃ NA POLU

Było to bardzo dawno temu. Bał - tak nazywali starego Cygana wybrał się ze swoją żoną Papiń na jarmark sprzedać konia. Cały dzień zmarnowali, a konia nie sprzedali, wracali zmęczeni i zdenerwowani. Przejeżdżali przez dużą wieś. Bał powiedział do żony,- Papiń zajdź do kilku domów i wywróż tłustą kurę na ugotowanie rosółu na kolację. Czekać będę na ciebie koło karczmy. Papiń zeskoczyła z wozu i poszła na wróżbę. Bał czekał i czekał a Papiń nie przychodziła. Zdenerwował się, wszedł do karczmy i wypił dwie czarki wódki, a że był po całym dniu był zmęczony i głodny wódka szybko uderzyła mu do głowy. Kiedy Papiń wróciła Bał był już kompletnie pijany. Krzyczała na niego, a on się z tego śmiał: lepiej weź lejce, siadaj na wóz i jedźmy do taboru. Papiń tak też zrobiła, Bał położył się z tyłu na wozie i tak jechali do taboru. Jechali, jechali i końca nie było widać, konik był już zmęczony Papiń zatrzymała się, wyprzęgła konia z wozu i puściła go na rów, żeby się popasał. Bał spał aż chrapanie słychać było na kilometr, a sama usiadła na rowie i myślała co ma ugotować na kolację. Na wiosce wywróżyła dwie tłuste kury, kartofle, śmietanę. Zauważyła, że niedaleko niej rosną dwie duże kępy szczawiu, mruknęła do siebie,- jak dobrze, ugotuję zupę szczawiową na jednej kurze. Narwała cały fartuch szczawiu, zaprzęgła konia do wozu i ruszyła w dalszą podróż. Zapadał zmrok .Zacięła konia batem, żeby szybciej dojechać. Kiedy przejeżdżała koło niezasianego pola, zobaczyła jak na nim z ziemi wylatują dziwne niebieskie języki płomieni. Zatrzymała wóz i zaczęła budzić męża, ale

wystrzał stu armat nie mógłby go obudzić a co dopiero ona. Papiń poczekała do kolacji, aż wywietrzeje wódka z głowy męża i opowiedziała mu co widziała na polu.- Papiń tobie chyba coś się przewidziało,- nic mi się nie przewidziało, ja nie byłam pijana tylko ty -dobrze, dobrze, idźmy spać a jutro zobaczymy to pole .Nastał piękny ranek, Bał nakarmił i напоił konia i zagadał do żony -może podmienimy go z jakimś chłopem a wracając zobaczymy ten twój ogień. - To nie jest mój ogień, ja to naprawdę widziałam - ja wiem, że nie twój, tak tylko żartuję, zaśmiał się Bał. Objężdżili dwie wsie, Bał nie podmienił konia, za to Papiń zarobiła sporo pieniędzy i wywróżyła aż trzy tłuste kury. Bał powiedział: na dzisiaj wystarczy już wrózenia, jedziemy zobaczyć ten dziwny ogień. Kiedy dojeżdżali do tego miejsca, z daleka było już widać niebieskie wydobywające się języki z ziemi. Bał był bardzo zdziwiony, nigdy takiego czegoś nie widział. Zeszli z wozu i powoli ostrożnie zbliżali się do tych niebieskich płomieni. Na kamieniu siedział nieruchomo człowiek i wpatrywał się w płomienie .Papiń była śmiała i zapytała,- człowieku, co tak sam siedzisz przy tym dziwnym ognisku?, widać że jesteś mocno zamysłony - a skąd ty wiesz kobieto o czym ja myślę?, zapytał nie odwracając głowy. –Wiem, bo jestem dobrą wróżką- odpowiedziała Papiń. Ja niewierzę w żadne wróżby. Ale ja wiem człowieku, jakie masz zmartwienie ,nie zdobyłeś żadnej duszy na tym świecie, miała namyśli kobietę. Człowieka poruszyło to co powiedziała Papiń aż wstał i zapytał, no to ile chcesz pieniędzy za wróżbę? Dzisiaj nie będę tobie wróżyć człowieku, jutro przyjdź tutaj o tej samej porze, to całą prawdę usłyszysz,

co było i co ciebie jeszcze czeka, powiedziała Papiń. Dobrze przyjdę. Jadąc do taboru wiedziała, że za tym kryje się nieczysta siła. Nie mówiła nic Bałemu, ale wiedziała, że to jest diabeł. Papiń zrobiła dobrą kolację, a później pijąc herbatę z leśnymi malinami, zaczęli szperać po starych zakątkach pamięci, wspominali swoich przodków. Papiń przypomniała sobie, jak chodziła ze swoją babcią szukać ziele na przepędzenie demonów. Pamiętała receptę na sporządzenie tej mikstury. Przy pełni księżyca o północy trzeba znaleźć ziele ratwali patryń – krwawego liścia, wykopać jego korzenie i gotować w święconej wodzie, dodając kilka listków z czarnego brzu, po dwóch godzinach robi się gęsta malisa. Tą miksturą należy posmarować wybrane miejsce, to diabły i demony omijając je będą z daleka. Przypomniała też sobie opowieść ojca, jak pewnego razu wybrali się Cyganie daleko na jarmark i wracali późną nocą do domu, niektórzy już spali, ale woźnica który był wytrzymały na sen zobaczył na polu niebiski ogień, zatrzymał wóz i obudził wszystkich. Przetarli oczy od spania i z dziwieniem patrzyli na ten ogień. Pytali ludzi, co to takiego? ale nikt nie umiał im odpowiedzieć, wreszcie po jakimś czasie napotkali starego mnicha, który powiedział: - to jest złoto, jak za długo leży w ziemi to się samo oczyszcza, ale przeważnie mają nad nim opiekę złe duchy. Papiń skojarzyła opowieść ojca z tym co sama zobaczyła i zerwała się z miejsca. Za godzinę będzie północ i pełnia księżyca, musimy szybko znaleźć to ziele, żeby zabrać złoto, i szybko zagłębili się w samym środku lasu, Bał wziął ze sobą desto, taką cygańską maczugę i czekali na północ. Papiń przypominała sobie na jakich miejscach rośnie to ziele. Szybko i nerwowo

szukali miejsca, ale nie mogli go znaleźć a już zbliżała się północ. Chyba nie znajdziemy tego ziele, już sekundy dzielą nas do końca północy, krzyknęła Papiń. Bał szybko nożem podważył korzeń z liśćmi i ziele było już na wierzchu. Wracali do domu . Po drodze zerwali kilka lisków bzu, które rosły nie daleko namiotu. Papiń! przecież my nie mamy święconej wody, nie martw się, w kościele jest jej pod dostatkim, zapręgaj jak najszybciej konia do wozu,- powiedziała Papiń. Wsiedli na wóz i pojechali do wioski. W wiosce odnaleźli plebańię. Zapukali w okno i obudzili księdza, z przerażeniem otworzył okno - a co to się stało, że po nocach nie dajecie spać? Najmocniej przepraszamy księdza, moja stara matka jest chora, i prosi, żeby ksiądz poświęcił jej wodę w tym garnuszku, bo pije ją przed snem. Ksiądz bez słowa poświęcił wodę i pobłogosławił -jedźcie z Bogiem. Papiń i Bał szybko wrócili do taboru, nalali wodę do garnka i gotowali do rana. O świcie, kiedy słońce powoli się budziło , Papin siedziała przy ognisku i miała już ulepione dwa malutkie placuszki. Na każdy placuszek nałożyła ćwierć malej łyżeczki mikstury, zrobiła z nich kuleczki i przepiekła na ognisku. Oczekiwali niecierpliwie na godzinę spotkania, Papiń powiedziała do męża - musisz być odważny, jeżeli chcesz być bogaty, ten człowiek to jest demon, albo czort, ale nie bój się, ja mam na niego haczyk jak na rybę i połknij go. Wyciągnęła karty z kieszeni i każdy rąbek posmarowała miksturą. Kiedy przyjechali na miejsce, człowiek już czekał, przyniósł dwa duże kamienie , kazał na nie usiąść i zapytał,- a ile wróżka bierze za wrózenie? Widać człowieku, że jesteś skąpy, skoro już na początku pytasz ile wróżba kosztuje, a wiem, że masz tyle bogactwa,

odpowiedziała.- Nazywają ciebie Papiń, to znaczy gęś, ale jako gaska to nie jesteś taka głupia jak mawiają na gęsi. - A nie jestem, jak nie powiem ci prawdę, to nic mi nie zapłacisz a jak prawdę, to trzy dukaty złote, taka moja cena za wróżbę- odparowała Papin. Wyjęła z kieszeni karty, rozłożyła przed nim na ziemni przy niebieskim ognisku. -Ja dobrze nie widzę tych twoich kart? -Ty nie potrzebujesz ich widzieć, zrób lepiej większe ognisko, to może zobaczysz. Widocznie za mało zakopałeś złota, karta mi pokazuje, że ktoś u ciebie wykupił się od śmierci i zapłacił złotem, a ty zakopałeś je tutaj bardzo dawno temu i czyści się samo. Tak, to prawda. Teraz ty opowiedz mi wszystko, żebym mogła tobie wywróżyć przyszłość i co ciebie spotka. Tak jak powiedziałaś wróżko, król miał już oddać duszę ale zapłacił mi złotem i zostawiłem go przy życiu, za to dostałem karę i tulam się poświecie. Karta mi mówi, że będziesz bardzo cierpiał. To co mam robić? Mogę tobie pomóc, tylko będzie to kosztować więcej – zaproponowała Papin. Dam ci sto złotych dukatów.- Zgoda, tylko żeby nikt ciebie nie rozpoznał musisz połknąć tą gałkę pieczoną przy ognisku. Ja nigdy nic nie jadam. Nie musisz jeść, wystarczy, że połkniesz i męki ciebie ominą, najpierw jednak zapłać sto trzy dukaty. Człowiek wy dostał z kieszeni sakiewkę i zapłacił dwa razy więcej. Papini wzięła dukaty i nisko się ukloniła. – Teraz otwórz szeroko usta. Kiedy otworzył, Papiń wrzuciła mu głęboko do gardła kulkę z ciasta. W jednej chwili na tym miejscu, gdzie stał diabeł została po nim tylko kupa czarnej smoły. Bał wyciągnął szpadel z wozu i zaczął kopać pod niebieskim ogniskiem tak szybko, że w dziesięć

minut wykopał worek złota. Papiń już nie potrzebowała chodzić na wróżby, żyła z mężem jak wielka pani do starości.

STRASZNA WODA

Było to przed wielu, wielu laty. Tabor jechał cały dzień szukając wygodnego miejsca na dłuższy postój. Wszystkim podróż dała się we znaki. Ludzie byli bardzo zmęczeni i głodni. Konie wymęczone wyraźnie zwolniły z głowami pochylonymi, niemal dotykając ziemi. Pot na ich grzbietach zmieniał się w białą pianę. Wreszcie zobaczyli duży sosnowy las i przyległą dużą polanę. Kokało-stary Cygan, który przewodził temu Taborowi, oznajmił że jest to nasze wymarzone miejsce na dłuższy pobyt . Polana była oddzielona wodą i żeby się dostać na nią, trzeba było sforsować rzekę. Rzeka była płytka, z wodą przejrzystą i czystą jak lza. Miała jednak coś bardzo tajemniczego w sobie. Jak się w nią wpatrywało, to ogarniał człowieka niepokój. Po jej drugiej stronie, na dużej polanie rosło sześć starych, grubych dębów. Mężczyźni znaleźli najpłytsze kamieniste dno rzeki, po którym łatwo można było się przeprawić na drugi brzeg. Kiedy dojechali do sześciu dębów, na widok polany i rosnących tam przeróżnych roślin z zachwytu oniemieli. Wszystkie rośliny: krzewy i drzewa, rosły tak, jakby je posadził ogrodnik. Kokało donośnym głosem oznajmił, że jest to miejsce, którego od dawna szukali i tutaj się zatrzymają na dłużej. Mężczyźni pośpiesznie rozkładali namioty i swój dobytek, a kobiety zabierały się do gotowania jedzenia dla wszystkich rodzin. Słońce już się chowało za lasem i ostatnimi czerwonymi promieniami rozświetlało cygańskie wozy i namioty. Zbliżała się noc. Po wielodniowej wędrówce

najbardziej zmęczeni poszli spać. Kokoł siedział jeszcze przy ognisku i rozmyślał o swojej rodzinie. Miał osiemnastoletnią piękną córkę Rani i chorowitą żonę. W końcu i on zasnął. Po nocy wszyscy obudzili się weseli i wypoczęci. Jeszcze tak smacznie nie spali. Starsza Cyganka Kali powiedziała: to jest jakaś zaczarowana polana. Od rana Cyganie zabrali się za porządki po długiej wędrówce. Sprzątano wozy, robiono drobne naprawy, szyto namioty, a kobiety wietrzyły pierzyny robiły pranie. Rani przywiązała do pasa duży fartuch i nucąc starą pieśń taborową pobiegła do lasu żeby zdążyć przed rosą i nazbierać ziół dla chorej matki. Jak nigdzie indziej, w tym lesie ziół było bardzo dużo. Chciała nazbierać jak najwięcej, na zapas. Przeskakiwała od krzaczka do krzaczka nie wiedząc, że coraz to oddala się od taboru. Kiedy już nazbierała pełen fartuch, wstała i nie wiedziała w którą stronę ma iść. Co raz bardziej błądziła i się oddalała. Przestraszona i zmęczona usiadła pod drzewem. Zauważyła wiewióreczkę, która niedaleko na leszczynie obgryzała zielone orzechy. Rani krzyknęła, że te orzeszki są jeszcze zielone i mogą jej zaszkodzić! Ku zdziwieniu dziewczyny, wiewiórka odpowiedziała ludzkim głosem: mi to nie szkodzi. Rani osłupiała z wrażenia. Po chwili wiewiórka uciekła. Rani ogarnął niepokój, wstała i szybko poszła przed siebie, aż doszła na skraj lasu. W oddali zobaczyła stary dwór porośnięty bluszczem i mchem. Zbliżyła się i obeszła dwór. Był ładny jak z bajkowych opowieści. Uchylone drzwi otworzyły się i mocno zaskrzypiały. Weszła do środka. Przy stole siedział lis, spojrzał na nią i zapytał ludzkim głosem: co Rani zabłądziłaś? Tak zgubiłam drogę, odpowiedziała przestraszona Cyganeczka.



Jednak lis mówił dalej ludzkim głosem: 'Ty nie zabłądziłaś, to było przeznaczenie! Jeśli chcesz, zaprowadzę cię do twojego taboru! Zrobię to pod jednym warunkiem: musisz uwolnić moich sześciu synów, którzy zostali zakłęci przez czarownicę. Ja nie znam się na zaklęciach, albo na czarach-odpowiedziała przestraszona Rani. Znasz się za to na leśnych ziołach! Zaprowadzę cię do taboru. Tam przyrządzisz miksturę na ziołach i rosie, i oblejesz krzak leszczyny, który ci pokażę. To jest ten sam krzak, z którego wiewiórka jadła zielone orzechy. Stary lis odprowadzając Rani do taboru, opowiedział, historię zaklęcia. Było to wiele lat temu. Wiedźma, która krążyła po okolicy jako młoda kobieta, zapragnęła jednego z sześciu moich synów. Chłopak nie odwzajemnił się dziewczynie, chociaż była piękna, bo rozpoznał w niej złego człowieka. Wiedźma tak się zezłościła, że rzuciła czary i zaklęcia na cały nasz ród i nasze posiadłości. Podległe nam wioski zamieniła w ciemne lasy. Synów moich zaczarowała w sześć grubych dębów. Przy tych dębach stoi twój tabor, a rzeka która obok płynie, to są łzy płaczących ludzi. Jedynie ty Rani możesz nas wybawić z tej klątwy. Musisz wiedzieć, że Twoja uroda, którą Bóg cię obdarzył, ochroni ciebie przed jej czarami. Odpocznij przez noc i pamiętaj, jutro bądź ostrożna. Skoro tylko nastał świt Rani wybrała się nazbierać ziół, ale do tej mikstury z rosą. Zerwała pięć orzeszków z leszczyny i jak najszybciej wróciła do taboru, żeby przed wschodem słońca zrobić miksturę. Kiedy mikstura była już gotowa ile tylko miała sił w nogach pobiegła do lasu i w ostatniej chwili przed pierwszym promieniem słońca oblala leszczynę. Wiedźma jak co rano przysłała na pierwsze śniadanie-z orzechów. Zjadła

kilka orzeszków z oblanej miksturą leszczyny. Po chwili zaczęła się kurczyć i kruszyć. Nie minął kwadrans, a zamieniła się w proch, który wiatr rozwiał po dalekich polach i ślad po nim zagał. Dworek na skraju lasu ze wszystkimi swoimi mieszkańcami znów zabłysnął swoim dawnym blaskiem. Rani została synową króla, a stary lis powrócił na swój dawny królewski tron. Rzeka zamieniła się w drogę, którą tabor po hucznym weselu Rani z najstarszym królewiczem, powędrował w daleki świat.

K I C I O R

Działo to się dawno, dawno temu. Stary Rom, pokłócił się ze swoimi braćmi i z całą swoją rodziną. Wziął żonę Romni-Cyganekę, cały swój dobytek wrzucił na wóz, zaprzągnął konia i odjechał z taboru. Po całym dniu drogi, na miejsce postoju i noclegu wybrał malowniczą wieś. Postanowił się tam, na skraju wsi, osiedlić na stałe. Pobudował wygodny drewniany domek wśród sosnowych i dębowych drzew, żeby przypominały mu taborowy las. Był mocno schorowany, wszystko go bolało: plecy, kręgosłup, ręce i nogi, prawie wszystko co jest w człowieku. Jego żona stale miała do niego pretensję, że jest niedołężny i nie wędruje jak inni Cyganie. Rom tak do tego narzekania przywykł, że nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Pewnej nocy mocno cierpiał, wszystko miał obolałe. Postanowił w dzień wygrzać się w słońcu na ławeczce koło domu. Wziął małą poduszkę i położył się na ławce, żeby wygrzać swoje kości i całe ciało. Leżał i myślał. Przypominał sobie dawne wędrowanie po świecie. Tak się rozmarzył, że nie zauważył kiedy do niego podszedł kot i zaczął mruczeć. Rom otworzył oczy, zobaczył dużego kota z oczami jak u sowy i krzyknął! Postraszył nawet kota laską. Na chwilę kot odszedł kilka metrów, ale po chwili wrócił i usiadł naprzeciw Roma. Patrzył mu prosto w oczy, jakby badał czy z powrotem nie podniesie na niego laski. Cygan przypatrywał się kotu uważnie. Miał tak ładną sierść, jak żaden inny. Przypominał sobie wtedy, jak w taborze jego ciotka - Bibi mawiała, że jak kogoś bolą plecy czy kręgosłup to najlepiej przyłożyć skórę kota na to obolałe miejsce i owinać

się, to ból ustępuje. Jednak nie wolno Cyganom zabijać ani kota, ani psa! Zabrania tego cygańskie prawo!. Rom wstał i poszedł do mieszkania, wziął kawałek słoniny i dał kotu. Ten spokojnie wziął słoninę, położył się na trawie i smacznie ją zjadł. Od tego czasu kot codziennie odwiedzał Roma i tak się z nim zaprzyjaźnił, że przesiadywał mu na kolanach. Któregoś dnia Rom głęboko zasnął na ławce. Kiedy się obudził, zauważył kota, który leżał za jego plecami na najbardziej obolalym miejscu. W pewnej chwili poczuł mrowienie i ciepło w plecach, ból ustępował. Zorientował się, że kot ogrzewając jego obolałe miejsca chciał je wyleczyć. Od tej pory Rom zaczął darzyć kota jeszcze większą przyjaźnią. Codziennie go karmił i pozwolił spać w domu. Po pewnym czasie spali już razem na kanapie. Kot przytulał się do jego obolalych miejsc i wygrzewał je. Po miesiącu Rom był zdrowy jak ryba. Ozdrowiały u wesóły wybrał się do wioski po zakupy. Kiedy wszedł sprężystym krokiem do sklepu, sprzedawczyni zdziwiła się, że Cygan jest taki zmieniony! Pamiętała go jako zgarbionego, stękającego z bólu człowieka, a tu taki zdrowy mężczyzna wchodził! Co się stało, że widzę Was w tak dobrej formie? – zapytała sklepowa. A to zasługa mojego kota. To on mnie wyleczył. Po tej rozmowie rozeszła się po okolicy wiadomość, że Rom leczy choroby kręgosłupa i inne dolegliwości bólowe. Nie długo trzeba było czekać, jak zjawił się pierwszy pacjent. Rom umieścił chłopca na swoim tapczanie i wpuścił kota. Ten z krzykiem zerwał się na równe nogi. Mój drogi, jak chcesz żebym cię wyleczył, to musisz pocierpieć. Po dwóch wizytach chłop wyszedł zdrowy i szczęśliwy. Zaczęły się tworzyć kolejki do tej dziwnej lecznicy Cygana. Przychodziło tak dużo chorych

ludzi, że Cygan z biedaka, po roku stał się bardzo bogaty. Ludzie dawali dobrowolne datki. Po roku za zarobione pieniądze Cygan wybudował dom z oddzielnym gabinetem, w którym leczył. Po kilku latach dorobił się służby i pomocników. Stał się bardzo szanowaną osobą w okolicy. Któregoś letniego wieczora Rom ze swoją żoną siedzieli na ławce koło domu, tak jak dawniej. Zaczęli wspominać taborowe czasy. Zdarzało się, że głodni kładli się spać, ale byliśmy szczęśliwi! Przyroda była naszą matką. Było wesoło i szybko zapominaliśmy o głodzie i niedostatku. Teraz jesteśmy bogaci, wszystko mamy co potrzeba ,ale nie jesteśmy szczęśliwi! Żyjemy w samotności. Sami jak dwa palce na dłoni i nie mamy dzieci. Tobie całe życie jest niedobrze - powiedział Cygan, mamy przecież kota. Jednak kot każdego dnia był coraz słabszy. Ze smutkiem patrzyli, jak z dnia na dzień traci siły. Pewnego wieczora nie wrócił na noc. Cygan i jego żona szukali go po okolicy, ale na darmo - kota nie było. Oddaliby całe bogactwo, żeby tylko wrócił! Nie mogli się z tym pogodzić i cierpliwie czekali. Przed każdą nocą Rom siedział na ławce i czekał. Któregoś wieczora przysnął na ławce i przyśniło mu się kocisko. Ten radośnie skakał po gwiazdkach na niebie i coś mruczał pod nosem. Kiedy Cygan się obudził był już ranek, a żona przygotowała mu śniadanie. Kot nie wracał. Przy śniadaniu opowiedział sen żonie. Romni rozplakała się i powiedziała: Bóg nam go dał i Bóg nam go odebrał. Musimy życie ułożyć na nowo.

ŹRÓDEŁKO

Było to dawno, dawno temu. Stare małżeństwo nie mogło się od wielu lat doczekać potomstwa, aż jednego lata, pierwszego sierpnia urodziła się im córka, dali jej na imię Sonia. Cieszyli się bardzo. Sonia rosła jak na drożdżach, ale była chuda i brzydka. Zamieszkali w małym miasteczku. Pochodzili ze szlacheckich rodzin, byli bogaci, nie martwili się co będzie jutro. Mijały lata. Sonia miała dziewiętnaście lat, nie chciała chodzić na przyjęcia i bale rodzinne, bo z jej brzydoty naśmiewali się na każdym kroku. Oznajmiła rodzicom, że nie będzie chodzić na żadne przyjęcia bo źle się na nich czuje. Po jakimś czasie przestała wychodzić z domu. Dzień i słońce widziała tylko przez okno, zaczęła być blada i biała jak mąka. Rodzice coraz bardziej się o nią martwili. W końcu postanowili, że się z tego miasteczka wyprowadzą dla dobra swojej córki. Ojciec znalazł takie miejsce gdzie były tylko dwa stare walące się wiejskie domki, ale za to, była precudna przyroda, las z różnymi gatunkami drzew, duże łąki pokryte kwiatami a pomiędzy nimi kręte polne dróżki. Pojechali tam z cieślą i rozbudowali domek na bardzo ładny dworek. Sonia wreszcie była szczęśliwa, cieszyła się, że, może robić co chce i nikt z niej się nie śmieje. Chodziła na długie spacery po drózkach polnych, zrywała kwiaty z łąk, robiła wianki takie ładne jak nikt dotąd. Sąsiad który mieszkał w drugim domku, był gajowym, nie miał żony ani dzieci, był samotnikiem. Zbierał runo leśne, które sprzedawał na targu i z tego się utrzymywał. Kiedy Sonia

z rodzicami zadowolona się już na dobre, któregoś dnia zaprosili gajowego do siebie na obiad. Po smacznym jedzeniu i przy herbacie, rodzice Soni wypytali gajowego, jak tutaj na tych terenach się żyje.- Mieszkam już tutaj dwadzieścia lat i nie miałem żadnych problemów, spacerować panna może wszędzie, powiedział gajowy, za wyjątkiem bagnistej łąki. - Nie radzę wchodzić do niej ani koło niej, bo ma coś dziwnego w sobie. Jak jakaś zwierzyna na nią wejdzie i ugryzie kilka kępek trawy, to zaraz znika bez śladu. Ludzie w wiosce opowiadają : -że kiedyś na tej łące stał duży młyn. Chłopi z pobliskich wiosek mieli w nim zboże ,ale pewnej nocy znikł i już nikt więcej młyna widział. Taka legenda krąży do dziś wśród ludzi. Gajowy podziękował za zaproszenie i za obiad, wychodząc powiedział:- jeżeli będzie potrzebna jakaś pomoc z mojej strony, to proszę na mnie liczyć i wyszedł. Sonia trochę się zmartwiła bo ta łąka bardzo ją interesowała. Jednego dnia wybrała się na dłuższy spacer, nachodziła się ile tylko nogi ją niosły, aż wreszcie odmówiły i usiadła sobie przy małym bajorku. Woda była czysta jak kryształ, tylko boki miała jakby z gliny. W wodzie tej widziała swoją twarz jak w najlepszym lustrze. Nie mogła już dłużej na swoją brzydotę patrzeć , pochyliła się i zaczęła ze złością mącić tą wodę. Chlupnęła sobie niechcący na pół twarzy, nie starała się jej wytrzeć, bo skoro jest tak brzydka to i błoto do niej pasuje - pomyślała. Siedziała i rozmyślała nad swoją urodą. Kiedy woda się uspokoiła ,zobaczyła swoją twarz , jedna połowa była ładna a druga brzydka. Rozebrała się szybko całkiem do naga, zanurzyła się w bajorku i tarzała się w nim jak świnka. Czula, że coś się w niej kurczy. Wyskoczyła z bajorka, położyła się na

trawie i od razu zasnęła. Obudził ją zimny wiatr, zobaczyła, że już się z ciemnia i prędko zaczęła się ubierać, ale wszystko na niej nie pasowało, było za duże. Pobiegła jak najszybciej do domu. Rodzice byli zmartwieni, że tak długo Sonia nie wraca. Kiedy wpadła do domu matka się jej przestraszyła - Co ty taka brudna jesteś, nie do poznania, co się stało - Nic mam, wpadłam do błota, odpowiedziała Sonia i szybko poszła do łazienki. Położyła się w wannie i z powrotem zasnęła. Obudził ją chłód, było już rano. Kiedy stanęła przed lustrem, od razu zakryła swoją twarz, nie poznała siebie, pomyślała, że to nie ona. Wydawało jej się, że to był tylko sen. Po chwili oprzytomniała i domyśliła się że, to nie jest sen tylko sprawa bajorka. Mama wołała na śniadanie, kiedy zjawiała się po dłuższej chwili w jadalni, rodzice zapytali: - A dama skąd tu się wzięła i czego chce?- Jestem waszą córką i zaraz wam o wszystkim opowiem. Sonia zaczęła opowiadać o całym zdarzeniu. Rodzice uklękli przed obrazem Pana Jezusa i zmówili pacierz. Matka krzyczała z radości:- Dzięki ci Panie Boże, że dałeś nam radość .Od tej pory Sonia była piękną i zgrabną dziewczyną. Któregoś dnia, z samego rana poszła do tego jeziora, żeby mu podziękować. Jezioro było bez zmian, tak samo czyste. Usiadła przy nim i dziękowała mu za urodę. Jezioro milczało, ale ktoś za plecami odpowiedział: - Dobrze żeś przyszła. Sonia odwróciła się zobaczyła siwiutką małą kobietę. Nie bój się Soniu, to ja jestem tym bajorkiem, mam już sto lat i daję ludziom radość. Słuchaj mnie uważnie, na pewno słyszałaś legendę o młynie, ale to nie jest legenda tylko prawda. Gajowy, wasz sąsiad to czarodziej, to on zaklął ten młyn. Co noc chodzi spać do tego młyna na bagiennej łące. Aby zdjąć

zakłęcia z młyna, trzeba przypilnować jak idzie spać do młyna i gdy się rozbiera i zostawia swoje odzienie na środku łąki, trzeba je zabrać, ale nie ma tam dojścia. Dam ci sznurek na szpuli, który sam się będzie rozwijał w kierunku jego ubrania. Nic mi się nie stanie? Zapytała lekko przestraszona Sonia. – Nie bój się, będę cię chronić. Sonia wzięła sznurek ze szpulą i wróciła do domu. Była ciemna bezksiężycowa noc. Sonia ubrała się, wzięła zapalki, szpulę ze sznurkiem, podkrađła się koło łączki i czekała na gajowego. O godzinie dwunastej przyszedł. Na środku łąki rozebrał się, i zanurzył się w bagiennej łące i już go niebyło widać. Sonia podeszła bliżej łąki, puściła sznurek, który pokulał się w kierunku ubrania. Po chwili słychać było, jak związał ubranie. Sonia sprawnie przyciągnęła je do siebie. Usłyszała bulgot wody, zauważyła jak gajowy wynurza się. Przestraszona nie mogła zapalić ale na szczęście zjawila się stara kobieta. Oblała naftą ubranie i od razu dużym płomieniem zaczęło się palić. Gajowy wyl jak wilk, cała łąka się trzęsła i rozjaśniło się. Widać było, jak pomału wynurza się młyn i staje na swoim miejscu. Sonia chciała coś powiedzieć do kobiety, ale jej już nie było. Na drugi dzień zjawila się cała parafia z księdzem, który wyświęcił młyn i okolice. Sonia chciała ochłonać po tych wszystkich wrażeniach, usiadła na krześle i zdrzemnęła się. Na jawie widziała, że tym bajorkiem opiekował się anioł. Sonia pomału przyzwyczajała się do swojej urody. Po całej okolicy rozeszło się, że jest taka piękna. Zjawiali się w swaty różni kawalerowie, ale wszystkich odprawiała z kwitkiem. Pewnego razu poszła ponownie zobaczyć bajorko, kiedy była w tym miejscu, bajorka już nie było. Tylko ze źródelka z pod kamienia wypływała malutka struga

wody. Wracala do domu, po drodze spotkala mlodego mezczyzne, który trzymal skrzypce w rekach a palcami szarpal struny, cos sobie gral. Zatrzymal sie przy Soni, i zaproponowal: -Czy moge cos pani zagrać? - Tak, prosze, ja bardzo lubie muzyke, ale nie mam czym zaplacić, pieniadze mam w domu. Kiedy zaczal grac z zachwytu nie mogla sie opanowac. Zabieram pana do mnie, do domu, zagra pan moim rodzicom. Sonia po drodze dowiedziala sie, ze jest sam na swiecie, rodzicow stracil, jak byl jeszcze dzieckiem. - A jakie panu rodzice dali imie? – Zapytala ciekawa Sonia. - Gajgaro Romano, cyganski skrzypek. Od tego czasu Gajgaro Romano gral dla Soni az do sędziwych lat.

MŁODY WIATR

Był ładny poranek. Słońce wyniosło się wysoko na niebie i zaczęło ogrzewać ziemię. Wszystko budziło się do życia, tylko młodziutki wiatr jeszcze smacznie spał. Nagle, nad drzewami przeleciał stary wiatr i zdenerwowany z wielką złością zatrzepotał gałęziami drzew, tak mocno, że aż malec zerwał się na równe nogi. Z przerażenia skulił się i zapytał; - ojcze, co się stało, że tak się denerwujesz? Stary wiatr, który chciał wychować syna na dobrego i przydatnego światu, zdenerwowany krzyknął, - jak co się stało, nie widzisz, że wszyscy już wstali i zajęli się swoimi obowiązkami a ty jeszcze śpisz. Po chwili, kiedy się nieco uspokoił, uświadomił malcowi, - jestem już stary, coraz mniej we mnie sił, chcę żebyś po mnie objął obowiązki i pomagał całemu światu i ludziom, ale obawiam się, że z ciebie nic dobrego nie wyrośnie, tłumaczył dalej. Młody wiatr przerwał i przejęty powiedział,- przepraszam ojcze, na pewno się poprawię i będę ciebie zawsze słuchał. Obawiam się, że nie rozumiesz, dodał ojciec, musisz wiedzieć, że na tej ziemi każdy ma swój obowiązek do spełnienia, słońce ogrzewa ziemię, żeby ją ocieplić i żyjątku na niej i całą przyrodę, deszcze ziemię nawadniają a wiatr rozpyla nasionka na rośliny, żeby wszystko mogło żyć .-Przepraszam ojcze, już wszystko zrozumiałem, zawirował i odleciał tak szybko, że z trudnością można go było dostrzec. Chyba coś zrozumiał, pocieszał się ojciec. Młody wiatr z taką złością leciał nad polami, lasami, rzekami ,że wszystko co po drodze napotkał niszczył i rozwalął, nawet góry nie oszczędzał, drzewa wyrwał z korzeniami , łany

żyta położył po ziemi jak dywany. Zrobił dużo krzywdy przyrodzie, chciał jeszcze więcej zrobić na złość ojcu, ale już sił mu nie starczyło, wreszcie usiadł na polu pod drzewem i rozmyślał. Bał się wrócić do domu. Zobaczył jak z daleka ktoś idzie drogą w jego kierunku, zbliżył się i ujrzał starą kobietę podpierającą się brzozowym kijem. Zatrzymała się i zapytała,- coś taki smutny wiaterek?, - bo narozrabiałem trochę, odpowiedział -a kim ty jesteś?. – jestem duszą tych gór, które rozwalaleś, odpowiedziała. Możesz mi pomóc, chcę naprawić swój błąd,-prosił wiaterek. Staruszka zgodziła się pomóc, pod warunkiem, że więcej nikomu nie wyrządzi krzywdy. Daje ci ten brzozowy kij który pomorze naprawić krzywdy wyrządzone przez ciebie. Wiaterek złapał brzozowy kij i wielkim świstem poleciał pod pułap nieba, po drodze rozpędził kilka kłębiastych chmur, ale przeprosił i pognął do zburzonych miejsc. Kiedy już byli na miejscu ,brzozowy kij wyrwał się z rąk wiatarka, zakręcił się kilka razy w powietrzu ,później zatrzymał się i wykonał trzy machnięcia w trzy strony świata i w mgnieniu oka wszystko było jak dawniej. Wiaterek zadowolony i bez strachu wrócił do domu. Pierwsze kroki skierował do ojca ,-drogi ojcze, bardzo, bardzo przepraszam za moje młodzieńcze wybryki , głupoty i za to co zrobiłem ,teraz zrozumiałem , że będąc młodym, to też trzeba szanować ludzi i świat. -Cieszę się że zrozumiałeś,- odpowiedział ojciec, owiał ciepło synka i poprosił żeby przy nim usiadł. Wiaterek usiadł i przytulił się do ojca. Kiedy byłem młody nazywali mnie Pędzik. Pewnego razu mój ojciec a twój dziadek ,nakrzyczał na mnie za coś, żeby ochłonać poleciałem sobie na dłuższy spacer. Poleciałem nad dużą wodą, usiadłem na piaszczystym

rozległym brzegu, gdy wpatrywałem się w fale wody i rozmyślałem, przechodził koło mnie mały żółwik i zapytał- co tak Piędziku zamyśliłeś się? Byłem nie grzeczny i ojciec na mnie nakrzyczał, odpowiedziałem - poczekaj zaraz przyniosę coś, co ciebie rozweseli. Żółwik zanurzył się w wodzie i nie było go dość długo widać, przyglądałem się rybkom jak pluskają się w wodzie i bawią się promieniami słońca. Miałem zamiar polecieć do domu, bo żółwik o mnie zapomniał, ale w tym samym momencie wynurzył się z wody trzymając coś w pyszczku. - Przepraszam cię, że tak długo musiałeś czekać ,ale nie mogłem znaleźć podarunku dla ciebie. Dał mi bardzo ładną muszelkę, kwadratową jak kuferek.- Kiedy będzie ci źle, albo smutno, to otworzysz ten kuferek, powiedział żółwik i zanurzył się w wodzie. Był pochmurny dzień, ogarnął mnie smutek. Nie wiedziałem co ze sobą mam zrobić. Przypomniałem sobie o muszli, zabrałem ją ze sobą, wzniosłem się i usiadłem na wysokiej górze. Przypomniałem sobie żółwika i przyglądałem się pięknej muszli jak kuferek, po chwili otworzyłem ją i zrobiło mi się wesoło na duszy. Zobaczyłem piękny świat a w nim wszystko wesołe. Wiatr, słońce i deszcz pomagają wszystkim , ludzie kosami koszą żyto i układają w kopki a wiatr uśmiechnięty ochładza im spocone głowy i księżyc, który obudzi się do nocnego dyżuru, żeby rozświecić ciemność i dać nocnym żyjątkom radość z życia. Wiaterek wsłuchany w opowiadanie ojca, wtulił się w jego ramiona - ja będę taki sam, szepnął. Wzruszony ojciec położył mu kuferek na kolanach. Wiaterek przycisnął go do siebie i słodko usnął.



PASTUCH

Pewna kobieta, od której odszedł mąż zostawiając ją z sześciorgiem dzieci, czterech chłopców i dwie malutkie dziewczynki, żyła na skraju niedużej wsi. Kobieta po odejściu męża nie mając gospodarstwa, żyła z dorywczej pracy. Bieda była, aż piszczało. Doszło do tego, że musiała posłać na służbę swoich nieletnich synów. Chłopcy służyli u zamożnych gospodarzy. Pracowali w gospodarstwach przy różnych pracach. Najstarszy syn Iwan pracował u jednego z najbogatszych we wsi, który miał on dwóch niedobrych synów. Dokuczali oni Iwanowi wtedy, kiedy pasał krowy. Pastwisko było bardzo duże, a na samym końcu był stare budowle z lochami. Nikt nie wiedział kto je zbudował i czemu miały służyć. Nikt też do nich nie wchodził. Wszystko było objęte tajemnicą i strachem. Legendy głosiły, że lochy miały po ziemią kilka kilometrów i prowadziły do jaskini, w której podobno miały mieszkać diabły. Jednego dnia Iwan przyszedł do domu zapłakany. Co się stało, zapytała zaniepokojona mama. Dokuczają mi dwaj synowie gospodarza, chyba nie pójdę więcej pasać im krów. Z czego będziemy żyć synu? Wytrzymaj jeszcze kilka dni, a ja postaram się znaleźć pracę dla ciebie u innych ludzi. Z samego rana Iwan wstał, zacisnął zęby i poszedł do pracy. Postanowił sobie, że nie będzie zwracać uwagi na to co o nim mówią synowie gospodarza. Była godzina dwunasta kiedy bracia się zjawili. tak, jak każdego dnia wcześniej. Z daleka wyzywali Iwana i śmiali się z niego. Podchodzili coraz bliżej. Starszy z braci zerwał mu czapkę z głowy,

pobiegł jak szalony do lochu i wrzucił ją do niego. Iwan z żalu aż się popłakał. Nie czekając na nic pobiegł w kierunku lochu po swoją czapkę. Zatrzymał się, stał chwilę nad skrajem wejścia do lochu, ale nie miał odwagi wejść do środka. Wahał się, ale w końcu pomyślał: niech się dzieje wola boska!... i wszedł. Zrobił pierwszy krok i zapanowała ciemność. Nie ustawał w wędrówce pomimo ciemności. Nagle zobaczył półmrok, a dalej światło. Szedł długim korytarzem, aż doszedł do dużych drzwi. Delikatnie je otworzył i ujrzał siedzącego siwego staruszka. Starzec zapytał: przyszedłeś po swoją czapkę? Tak, odpowiedział drżącym głosem Iwan i się rozplakał ze strachu. Starzec popatrzył na niego i powiedział: nie płacz, masz tu swoją czapkę Iwanie. Chłopak wziął czapkę, podziękował i chciał szybko odejść, ale starzec kazał mu się zatrzymać. Poczekaj, nie odchodź jeszcze coś ci włożę do tej czapki, coś co bardzo wam się w życiu przyda. Nasypał całą czapkę małych szyszek i powiedział: pamiętaj nie zgub ani jednej. Dobrze Panie, na pewno nie zgubię, odpowiedział Iwan, podziękował, uklonił się nisko i pobiegł do wyjścia. Kiedy już wyszedł z lochu na światło dzienne, własnym oczom nie wierzył, zamiast szyszek miał całą czapkę złotych monet. Uradowany zaczął popędzić jak szalony do swojej matki, do domu. Zobaczyli to dwaj synowie gospodarza. Nie widzieli tyle złota u nikogo! Szybko wbiegli do lochu, rzucili swoje czapki i stanęli przed obliczem starca. Starzec popatrzył na nich i zapytał: przyszlście po swoje czapki? Tak starcze, odpowiedzieli bracia. Macie tutaj swoje czapki i dam wam coś jeszcze na drogę powrotną. Nasypał do każdej czapki pełno złotych monet. Teraz możecie wracać do domu, tylko szybko

- rzekł starzec. Uradowani bracia co sił w nogach popędzili do wyjścia z lochów. Kiedy wybiegli na zewnątrz w blasku słońca zobaczyli, że zamiast złotych pieniędzy ich czapki są pełne krowiego łajna.

S A N O - (Cienki)

Po całodziennej jeździe, tabor był już bardzo zmęczony, a biały kurz i pył pokrył czarne włosy dzieci i kobiet. Głowy im posiwiały, a twarz spiekło gorące słońce. Konie z opuszczonymi łbami ledwo ciągnęły wozy. Woźnicy trzymając się lejców, przysypiali na kozłach wozów, a matrony pochrapywały siedząc ze zwisającymi nogami na skraju wozów. Droga dłużyła się, czas ponaglał do zatrzymania się na nocleg i dłuższy odpoczynek. Wreszcie tabor dotarł do dużego lasu z rozległą polaną. Zaczęto rozstawiać namioty i rozpalono ogniska. Dzieci z osmalonymi twarzami niecierpliwie czekały na upragnioną kolację. Cyganki dwoiły się i troiły żeby nakarmić dzieci przed spaniem. Mężczyźni obeszlili konie, podrzucili siana i napoili. Nie daleko polany płynęła niegdyś rzeczka, jak powiadali ludzie, była wesola, pluskała się i tańczyła z kamyczkami podrywanymi z dna wartkim nurtem. Woda ogrzana słońcem, wypełniona była rybami, rakami i kumkającymi żabami. Teraz pozostało po niej tylko smutne i wyschnięte koryto. Cyganki po pitną czystą wodę, musiały teraz chodzić do wioski. Wśród chłopców, był osiemnastoletni Sano. Tak go nazywano, bo był wysoki i bardzo chudy, no i nieprzeciętnie brzydki. Dziewczęta wyśmiewały się z niego i na każdym kroku dokuczały mu. Rodziców miał dobrych, karmili go do syta, kochali, nie patrząc na jego urodę. Jego dziadek był doskonałym wędkarzem. Nauczył Sano łowienia ryb i nie było w taborze lepszego od niego w tym fachu. Nikt mu nie mógł dorównać. Kobiety przygotowały jedzenie z niewielkiego zapasu wody. Po

kolacji ogniska powoli wygasły, a zmęczony wędrówką tabor zasypiał. Sano siedział przy dopalającym się ognisku i przygotowywał sprzęt wędkarski. Z samego rana, kiedy wszyscy jeszcze spali, Sano wyruszył w poszukiwaniu jeziora lub jakiejś innej rzeczki. Szybkim krokiem dotarł do wyschniętego koryta i szedł nim w górę z przekonaniem, że znajdzie coś do wędkowania. Dotarł do bajorka. Nachylił się, chciał w nim umyć ręce, ale było w nim tyle różnego robactwa, że się zawahał. Chciał już wracać do taboru, ale zauważył w zagłębieniu koryta, leżący duży kamień. Wyglądało na to, że ktoś go specjalnie tak ułożył. Zastanawiał się, kto tak mógłby zrobić. Schylił się chcąc go odsunąć ale usłyszał odgłosy pluskającej wody jakby z wodospadu. Nie mógł zrozumieć co to takiego. Kiedy tak chwilę stał nad kamieniem, wiaterek się zawinął wokół niego i szepnął muskając po uchu: uciekaj stąd jak najdalej! Sano rozejrzał się dookoła, jakby kogoś szukał ale nikogo nie było. Postanowił wrócić do taboru. Jednak cały czas myślał o tym, co przydarzyło mu się przy kamieniu. Postanowił wziąć konia z postronkami i spróbować wyciągnąć kamień. Dotarł do bagienka. Zaprzągnął konia, ale w tym samym momencie nadleciał ten sam wiaterek, owiał go i szepnął: nie waż się tego robić bo stracisz konia. To co mam robić? Krzyknął ze złości. Jednak odpowiedzi nie usłyszał. Wrócił do taboru smutny i zmęczony, a mama zapytała go, co się stało? Nic mam, odpowiedział. Po chwili pomyślał, że dopadły go jakieś urojenia czy przewidzenia. Jak nigdy noc przespał głębokim snem, wstał wypoczęty i chciał się wybrać do wioski aby dowiedzieć się czy w pobliżu nie ma jakiegoś jeziora. Poczuł, że znowu owiewa go wiaterek i szepcze do niego:

weź wiadro, nabierz wody z najgłębszej studni we wsi i poświęć ją w kościele. Pilnuj żeby nie wylać ani jednej kropli. Sano poczuł w tej chwili, jakby coś wzywało go i kierowało nim, żeby jeszcze raz zobaczyć kamień. Pójdę i dobrze sprawdzę to miejsce - pomyślał. Kiedy biegł korytem wyschniętej rzeczki w kierunku kamienia, ponownie owiał go wiaterek, szepcząc mu: musisz przepędzić ropuchę, bo to ona blokuje otwór źródelka i nie daje wypłynąć wodzie. Sano dobiegł do kamienia, wydawało mu się jakby usłyszał plusk wody. Przyłożył ucho do kamienia i usłyszał lament i błagania: niech ktoś nas uwolni, dusimy się tu! W tym momencie nadleciał wiaterek, zakręcił się i przypomniał chłopakowi o święconej wodzie. Nie zwlekaj, idź jak najszybciej po święconą wodę! Sano wrócił najszybciej jak tylko potrafił, złapał wiadro i pobiegł do wioski. W wiosce znalazł najgłębszą studnię, nabrał pełne wiadro wody i pobiegł do kościoła ją poświęcić. Wrócił do taboru ze święconą wodą i usiadł pod namiotem. Ponownie nadleciał wiaterek, owiał go dookoła i szepnął: musisz teraz być bardzo odważnym i wytrwałym, niczego się nie bać. Będą cię atakować różne straszydła. Jak zaczną, polej się cały święconą wodą, a ona ochroni ciebie przed nimi. Sano zacisnął zęby, ustawił wiadro ze święconą wodą między nogami, pochylił się nad nim i czekał na nadejście stworów. Kiedy Księżyc wyszedł zza chmur, przed Sano stanął człowiek bez głowy. Przestraszył się, nabrał wody z wiadra i cały się oblał. Szybko się podniósł złapał wiadro i ruszył w drogę. Wokół niego latały czarownice, czarne ptaki ze świecącymi oczami i przeraźliwie krzyczały. Mimo ogarniającego go strachu szedł tak szybko, jakby go unosiły skrzydła. Nie obejrzał się, a już

był przy kamieniu. Nie zastanawiając się wylał resztę święconej wody na kamień. Nagle dookoła wszystko zawirowało, kamień z wielkim hukiem rozsypał się w piach a ropucha rozświeciła się zielonym światłem, silny strumień wody wystrzelił i porozrywał ropuchę na drobne kawałki. Woda, jakby strumień ramion, uniosła Sano nad ziemię. Im wyżej tryskała, tym bardziej się rozpylała w drobne kropelki i mieszała się z promieniami słońca. Źródelko uwolnione od kamiennego zaworu tęczową bryzą obmyło chłopcu twarz. Sano stał się najpiękniejszym młodzieńcem w taborze. Dziewczyny, które dotychczas naśmiewały się z niego i dokuczały mu, teraz starały się o jego względy, ale żoną jego, została najpiękniejsza dziewczyna w taborze. Od tamtej chwili, Sano był najbardziej lubianym i szanowanym w taborze. Żył szczęśliwie do starości. Wyschnięte koryto rzeczki wypełniło się wodą, do której od tej chwili zaczęli ściągać młodzieńcy ze wszystkich stron świata, na kąpiele poprawiające urodę ich ciała i duszy.

WANGAR I SROKA

Żył sobie w małej wiosce Cygan, którego nazywano Wangar. Był czarny jak węgiel: smagły, kruczoczarne włosy i czarne długie wąsy. Żył biednie i mieszkał w małej, drewnianej chałupie. Każdego wieczora w pacierzu prosił Boga żeby nie było silnych wiatrów, bo się bał o swój dom, że może mu się rozlecieć. Miał pół hektara ziemi, ale nie miał jej czym obrobić, ani pługa, ani motyki, ani sochy, jedynie stary szpadel. Miał żonę chłopkę, która pomagała mu na tyle, ile potrafiła i ile miała sił w rękach. Wczesnym rankiem, wiosennego dnia, Wangar poszedł kopać swoje pole, chciał zrobić grządkę do posadzenia worka kartofli. Żona robiła porządki w domu. Otworzyła okno i wystawiła pościel: pierzyny i poduszki. Nagle nadleciała sroka i wpadła do izby. Kobieta chciała ją wygonić, ale zuchwała sroka nie pozwoliła na to. Zdenerwowana chłopka złapała miotłę i chciała srokę zabić. Tak długo za nią ganiała, aż się zmęczyła. Usiadła, żeby odpocząć jednak w tym czasie nadszedł Wangar i zapytał: co się stało żeś taka zmęczona? Gonię tę srokę, która usiadła na szafie. Jak uda mi się ja złapać, to ugotuję z niej rosół. Czy ty ogłupiałaś? Sroki się nie je. Otworzył szeroko okno, sroka wyleciała i usiadła na suchej lipie. Cygan nie raz chciał ją ściąć, ale jakoś nigdy nie miał czasu. Chwilę posiedziała, zatrzepotała skrzydłami, obleciała lipę dookoła kilka razy w prawo i kilka razy w lewo i odleciała. Minęło kilka dni. Którejś nocy przyśniło się Cyganowi, że lipa zakwitła. Po przebudzeniu wstał, ubrał się i wyszedł na dwór, i oczom swoim nie dowierzał: lipa była cała w liściach i kwiatach. To cud! To Bóg sprawił z tą

lipą powiedziała żona. Minęło kilka dni. Pojawiła się ta sama sroka i zaczęła wic gniazdo w samym środku korony lipy. Każdej nocy słyhać było różne, dziwne stuki wokół lipy. Minęły trzy dni. Wangar wstał z żoną z łózka, zjedli liche śniadanie i wyszli na dwór. Nie wierzyli własnym oczom! Zamiast starej stodoły nieopodal lipy, stała nowa stodółka z dębowych desek. Z wrażenia przysiedli na ławeczkę pod lipą. Przez cały dzień nie mogli się nacieszyć, jaki spotkał ich cud! Nie dawało im spokoju czym sobie zasłużyli u Boga, że obdarował ich takim dobrem. Przez cały dzień podziwiali stodółkę i szczęśliwi poszli położyć się spać. Nastal świt, mgła jeszcze dobrze nie opadła na ziemię, żona Wangara po źle przespanej nocy wstała i wyszła na dwór. Chciała sprawdzić czy nowa stodoła, to nie był tylko sen. Aż zaniemówiła z wrażenia: stodoła była pokryta nowym dachem, jak w pałacu, z blachy z pięknymi ozdobami. Po chwili nabrała powietrza i krzyknęła: Boże mój, co to się dzieje! Mąż usłyszał krzyk żony wybiegl z domu i zobaczył stodołę pokrytą pięknym dachem. Nie mogli uwierzyć własnym oczom. Radość ich była wielka. Po chwili wrócili do domu, a tam zamiast jednej izby, były cztery pokoje pięknie umeblowane. Wszystko to wyglądało jak sen. Wrócili na ławkę pod lipą. Wangar powiedział: mamy piękny dworek, stodołę to przydałoby się nam trochę pieniędzy. Jeszcze dobrze nie dokończył zdania, a z dachu jakby deszcz, posypały się pieniądze. O czym tylko zamarzył i powiedział, to wszystko się spełniało natychmiast. Mieli już wszystko. Od tej pory Wangar często chodził z żoną na spacer.



Ludzie we wsi stronili od nich, posądzali ich o czary i nieczyste interesy z diabłem. Od dawna nikt ich nie odwiedzał, a droga do ich domu zarosła trawą.

Żona namawiała Wangara żeby wyjechać z wioski. Z każdym dniem podupadała na zdrowiu. Nie wychodziła już na spacer z mężem. Wangar sam wybierał się na przechadzki. Któregoś ranka wyszedł w kierunku lasu. Pod lasem zobaczył starą kobietę ubraną w lachmany, która zbierała chrust. Układała patyki na płachtę i kiedy nazbierała, próbowała zarzucić chrust na plecy. Było tego tak dużo, że nie mogła sobie poradzić. Wangar pospieszył jej z pomocą: pomogę wam zanieść chrust do waszego domu. Bardzo dziękuję Wangar, powiedziała kobieta. O, skąd wiecie jak mnie nazywają?. Ja wszystko wiem, odpowiedziała. Wyszli na skraj lasu, Wangar zobaczył małą górkę z trawą wystrzeżoną jak zielony dywan, a na niej malowniczy domek z drewna. Kiedy już byli za furtką staruszka powiedziała: połóż pod ścianą chrust i wejdź do domu, poczęstuję Cię herbatą. Wangar wszedł do środka zobaczył duży stół na środku izby a po bokach krzesła zrobione z pni drzew. Po chwili otworzyły się drzwi, a w nich stała piękna młoda kobieta z herbatą na tacy. Wangar wstał z wrażenia i po chwili zapytał: a gdzie starsza kobieta? Tą starszą kobietą jestem ja! Mam na imię Sora. Usiedli przy stole i popijając herbatę patrzeli w swoje oczy. Wangar zapytał: sama tutaj mieszkasz ? Nie! Mam dużą rodzinę: sześć siostr. Chwilę jeszcze porozmawiali, Wangar podziękował za herbatę i wyszedł z domku. Na płocie zobaczył piętnaście srok, przeszedł koło nich. Jednak żadna nie odleciała. Nawet zdziwił się z tego powodu. Kiedy znalazł się w lesie zaczął

przyspieszać bo robiło się późno. Poczul, że nogi zrobiły mu się jakieś takie ciężkie. Trudno było mu zrobić kolejny krok. Nagle zerwał się silny wiatr, poderwał go do góry i jeszcze dobrze się nie obejrzał, a już był w swoim domu. Żona leżała na łóżku i nie miała sił żeby wstać. Było z nią coraz gorzej a znachor , który przepisywał leki, był bezradny. Przestała jeść i po kilkunastu dniach zmarła. Wangarowi było smutno, całymi dniami przesiadywał na ławce pod lipą. Pewnego razu przyleciały dwie sroki, usiadły obok niego i zaczęły jazgotać. Po jakimś czasie Wangar zaczął ich język rozumieć, pogłaskał sroki po główkach i powiedział: nie sprzeczaście się, jesteście takie ładne. Srokom się spodobał komplement Cygana. Odtąd codziennie przylatywały do niego, żeby nie było mu smutno. Dni mijały, Wangarowi dokuczala samotność , sroki prawie każdego dnia przylatywały. Wiedział wszystko co w ptasim świecie się dzieje. Pewnego wieczora, odwiedziła go Sora, młoda kobieta z domku za lasem. Ugościł ją wyśmienitym jedzeniem i dobrą rozmową. Gdy się rozstawali, kobieta zaprosiła go do siebie. Zaproszenie przyjął z radością i czekał z niecierpliwością na dzień odwiedzin. Kobieta ta bardzo mu się podobała. W dzień odwiedzin Wangar był już od rana starannie ubrany i jak na skrzydłach poleciał na spotkanie. Sora czekała na niego u progu swojej chatki. Stół był suto zastawiony, a przy nim siedzieli już goście i pięć pięknych kobiet. Sora przedstawiła je: to są moje siostry. Ucztowali tak aż do późnych godzin nocnych. Sora zaproponowała Wangarowi , żeby został u niej na noc bo zrobiło się bardzo późno. Nie trzeba było go długo namawiać. Kiedy uczta dobiegła końca i goście już poszli, Cygan

zaproszony został do bardzo wytwornego pokoju z puchowymi piernatami. Usiadł na krawędzi łóżka i marzył: żeby jeszcze przed snem zobaczyć Sorę. Nie długo musiał czekać. Zjawila się, stanęła przed nim i powiedziała: czekałeś na mnie? Tak! Bardzo czekałem na Ciebie! Wiem, bo jesteś zakochany we mnie, powiedziała Sora. Ty jesteś moim marzeniem, na wszystko się zgodzę, zrobię co tylko zechcesz, żeby tylko być z tobą - powiedział Wangar. Sora wyszła bez słowa i po chwili wróciła z całą swoją rodziną. Najmłodsza z sióstr przyniosła dwa pióra: białe i czarne.

Po chwili powiedziała: widzisz, jest nas sześć sióstr i żadna z nas nie ma jeszcze męża, a to dlatego, że żaden z młodzieńców, którzy starali się o naszą rękę nie wybrał odpowiedniego pióra. Zgodnie z naszą tradycją, aby zdobyć serce którejś z nas i wejść do naszej rodziny, musisz wybrać: jedno z piór czarne lub białe, albo dwa naraz. Wszyscy usiedli wokół stołu. Cygan stał nad piórami i długo myślał. W końcu zdecydował i wybrał dwa pióra naraz. Wszyscy się ucieszyli. W mgnieniu oka nakrył się stół. Towarzystwo bawiło się hucznie aż do rana. Wreszcie mają szwagra, a klątwa została zdjęta z pięknych dziewcząt. Następnego dnia po zaślubinach, wszyscy się obudzili i wrócili do swoich dawnych postaci-rodziny srok. Również Wangar, jako członek tej rodziny, zostając mężem jednej z sióstr, przemienił się w srokę. Od tej pory był w tej sroczej rodzinie bardzo szczęśliwy i wędrował po świecie, a jego dworek stał się ponownie jednoizbową chatą pokrytą słomą. Piękny drewniany domek sroczych sióstr zamienił się w podarty cygański namiot. Żyli wszyscy długo, szczęśliwie i beztrosko. A kochali się, jak nikt nigdy dotąd.